

Marek Krukowski

## ZAPISKI BEZ ZNACZENIA (FRAGMENT)

Noszę w głowie obraz samej siebie. Jestem nieco wyższa, nieco smuklejsza. Poruszam się z gracją i z wdziękiem przynależnym pełnokrwistym kobietom. Moje włosy są dłuższe, gęstsze, bardziej lśniące. I oczywiście jestem młodsza, zdecydowanie młodsza. Oto prawdziwa ja, której nigdy nie spotkacie na ulicach tego lub jakiegokolwiek innego miasta.

Moje zapiski rozpocznę od dnia pogrzebu.

Najpierw jednak wezmę prysznic.

Usłyszałam, że ktoś wchodzi do łazienki. Zasłonka prysznicowa odchyliła się i ujrzałam filuterną twarz Adama. Cmokał. Wywracał oczyma. Z nieskrywanym uwielbieniem wpatrywał się w moje nagie ciało w strumieniach gorącej wody.

Adam, młodszy o te feralne trzynaście lat, jest równocześnie moim dzieckiem, partnerem i kochankiem. Co nasuwa dość niepokojącą myśl, że w satysfakcjonujący sposób nie spełnia żadnej z powyższych ról.

Adam obnażył się bezceremonialnie i z szelmowskim uśmiechem zaczął wykonywać frykcyjne ruchy, wymachując swoim przyrodzeniem. Parsknęłam. Ten jego tradycyjny taniec, podczas którego potrząsa miękką fałdą brzucha, jak i wydatnie wystającym tyłkiem, nieodmiennie mnie bawi.

Z wyraźnym zadowoleniem przyjął moje parsknięcie. Głęboko się pokłonił. Podciągnął spodnie, uszczyptał mnie w pośladek i ulotnił się z łazienki. Wytarłam się starannie i stanęłam przed lustrem, pochylając się ku mojemu odbiciu, aby cierpliwie i z niepokojem, jak tyle kobiet przede mną i zapewne po mnie, zliczać nitki zmarszczek: drobnym ścięciem rozbiegające się z kącików ust i oczu.

Wciąż pozostaję prowincjonalną autorką dwóch książek nagrodzonych lokalnie. Z czterdziestką na karku rezyduję w rodzinnym domu, okupując wraz z Adamem jeden pokój: ten odziedziczony po cioci Wisience.

Czy już zdołaliście posłyszeć ciepłe brzmienie mojego głosu?

Oto jestem drobna, zwarta, jasnowłosa. Krótka obcięta. O rozłożystych biodrach, które są jak wrota prowadzące donikąd. W głąb ciemnej, bezpłodnej katedry ciała, gdzie pomieszkuje jedynie arystokratyczny pan Ból: znudzony, kapryśny, trącający mnie ostrym czubkiem skórzanego pantofla.

Koszula jest czarna, prostego kroju. Zapinam guziki u jej mankietów i wychodzę na pogrzeb matki mojego przyjaciela, Roberta. Towarzyszy mi Adam. Droga na cmentarz, ścieżką przez las, zajmie nam najwyżej dziesięć minut.

Nie znam śmierci. Nie rozumiem jej, choć myślę o niej praktycznie codziennie. Bardzo często tuż przed zaśnięciem w wewnętrzną stronę czaszki puka mnie myśl: „Ty też będziesz musiała. Prędzej czy później”. Otrząsam się z niej jak czarny, kudłaty pies, którego oblano kubłem lodowatej wody. I zasypiam.

Na zewnątrz zalewa nas gęsta fala ciepła. To pierwszy tak wyraziście wiosenny dzień. Druga połowa marca.

Już po kilku krokach czuję pot spływający po karku. Adam w szarej marynarce klnie pod nosem:

– Zaczyna się... pierdolone słońeczko.

Teraz złorzeczy, ale raptem za pół godziny będzie chlipał i pociągał nosem: „Jak mogłem nie zabrać chusteczki na pogrzeb?”

W styczniu minął rok, odkąd go przygarnęłam (niemal wprost z ulicy, jak bezpańskiego kundla) i zamknęłam w obrębie mojej małej codzienności. Wszystko po to, aby zniszczyć samotność, która zamiast zniknąć, wniknęła we mnie, zamieszkała w ciepłym labiryncie moich trzewi.

Przez pierwszych osiem miesięcy Adam i ja dryfowaliśmy cudownie bezrobotni w odstąpionej nam przez Roberta niezamieszkaney i pustej kawalerce. Wstawiliśmy tam stół, dwa krzesła. Na ziemię rzuciliśmy materac i było nam sielsko.

Znacie to?

Po ośmiu miesiącach kamienne usta rodzinnego domu zassały nas na powrót. Oficjalna wersja mówi, że znudziła się nam zabawa w pełnoprawnych dorosłych. A tak naprawdę, wydaliśmy większość pieniędzy.

W kondukcje idzie jedynie garstka osób. Może to przez rozprzestrzeniającą się zarazę? Chyba zostały wydane jakieś zalecenia, co do wielkości zgromadzeń.

Z kieszeni kurtki Roberta wystaje szyjka szklanej butelki z odklejającą się banderolą. Dwusetka żołądkowej albo wiśniówki. Stawiam jednak na gorzką żołądkową.

Łysa głowa Roberta przy siwej i drobniutkiej głowie jego ojca. Widziane od tyłu kołyszają się w tym samym spokojnym rytmie.

Ależ to słońce praży. Próbuję zachować równowagę w przyciasnych czarnych pantoflach na średnim obcasie. Szukając wsparcia, dotykam dłoni Adama i zerkam na nią w przelocie, rejestrując stan skóry: przesuszona.

Wczoraj rozmawiałam z Robertem przez telefon z dobrą godzinę.

– Zakochuję się...

– Bardzo mnie to cieszy – odparłam.

– Tak... miłość w czasach zarazy – coś jakby mlasnął i zarechotał krótko. – A to wszystko dzięki tobie. Ty nas poznałaś. Tylko ta dręcząca świadomość, że ona ma męża. Ślub kościelny. To jakiś obłęd – wyrzucił z siebie i zamilkł. Czeakałam cierpliwie, aż nagle... – Słuchaj, pochówek będzie katolicki, z mszą i w ogóle, więc nie wiem... W mszy nie musisz uczestniczyć, wystarczy, że pójdziesz w kondukcje.

No jakby mi kto w twarz dał, ale dobrze. Niech i tak będzie. Robert kontynuował bez zająknięcia:

– Matka w ostatnim czasie była jak duch: snuła się, oglądała telewizję, czasem wybrała ode mnie papierosa. Właściwie to mi ulżyło. Najbardziej bałem się, że pierwszy umrze mi ojciec i zostanę sam z matką.

Ksiądz wygłosił swoje formułki. Trumna powoli zaczęła zjeżdżać w świeżo wykopany dół. Wokół wznosił się sosnowy las. Jeden z grabarzy rzucił opryskliwe:

– Teraz kwiaty.

Ojciec Roberta cichym a wyraźnym głosem w kilku prostych zdaniach podsumował wspólnie przeżytych pięćdziesiąt lat. Opowiedział nam o swojej Ani, dla której sam Wojacek napisał wiersz na kawiarnianej serwetce. I o tym, jak lubiła się wylegiwać, kiedy on w pokoju obok malował obrazy. Mówiła wtedy, być może lekko przeciągle: „Słyszę, jak twój pędzel porusza się po płótnie”.

Starszy pan zamilkł. Jego cichy głos uwiłzył w krtani. Roztrzęsionymi palcami próbował wyjąć z foliowego opakowania chusteczkę higieniczną. Staliśmy tuż obok, bardzo blisko i w bezruchu przyglądaliśmy się zmaganiom starca z oporną materią.

Ta chwila. Jego chwila. Nasza chwila. Anny nie-chwila... jak mała, stara, twarda, czarna piłeczka z lanej gumy.

W końcu z pomocą starcowi przyszedł syn – ruchy Roberta były szybkie i ostre. Jakby krzyczały: „Niech ojciec skończy z tym cyrkiem”.

Tuż po ceremonii Robert doskoczył do nas i wypluł z siebie:

– Dzięki, że przyszlście, ale czasy są trudne, więc rozumiecie...

Rozeszliśmy się bez zbędnych słów, objęć, czy choćby zwyczajnego uścisku dłoni.

Wsunęłam się Adamowi pod ramię.

– Będzie nam ciężko przeżyć wspólnych pięćdziesiąt lat – szepnęłam nieco melancholijnie, kiedy wracaliśmy niespiesznie tą samą ścieżką przez las. A upał falował wszędzie wokół.

– Niedoczekanie nasze – zaśmiała się moja pyszota, pociągając przy tym nosem. – Ile ja jeszcze mogę pożyć?

\*

Z perspektywy czasu, która nieprzerwanie zmienia swoją optykę, tamten dzień pogrzebu jawi się dzisiaj jako symboliczna granica ustanawiająca: koniec przyjaźni z Robertem i początek moich zapisków.

Właśnie tak chcę zapamiętać ten dzień. Co więcej, potrzebuję go, jako oficjalnej daty pożegnania z przyjacielem. Pożegnania, które faktycznie nigdy nie nastąpiło. Nasza przyjaźń utraciła wyrazisty kształt i kolor rozmyta przez cierpliwy nurt powszednich dni. Szczelnie zarosła mgłą i niepamięcią, nieprzebrany zielskiem codziennej krzątania. I w tej gęstwinie została zgubiona niczym niegdyś ukochana, dziecięca

zabawka: pluszowy króliczek z naderwanym lewym uszkiem. Zgubiona czy też rozmyślnie porzucona?

Nie pytajcie mnie o prawdę.

Opowiem ją jeszcze raz, ale inaczej: Pewnego dnia siedziałam w łódce zacumowanej u brzegu rzeki. Robert odwiązał linę i odepchnął łódź, sam pozostając na pomoście. Ze zdziwieniem, ale i ze spokojem obserwowałam, jak rzeczny nurt unosi łódkę. Nie chwyciłam za wiosła. Nie, nie tym razem. Zanim Robert zniknął za zakolem rzeki, uniósł dłoń i rzucił w jasne, niezmacone powietrze: „Na zawsze pozostaniesz dla mnie kimś ważnym”. Ten słowny frazes pobrzękuje w moich uszach po dziś dzień. Nie sądzę, aby Robert wtedy skłamał. Mnie również zdarzyło się posłużyć tym słownym wytrychem przynajmniej wobec dwóch osób. I wówczas święcie wierzyłam w jego prawdziwość.

A zatem co pozostanie?

Na pewno jego pokój. Ta swojska nora: sanktuarium kurzu i półmroku. Spokojna przystań. Ach, jakże lubiłam zacumować w jej przydymionym półcieniu, który panował tam niezależnie od pory dnia i roku, aby napawać się niezmiennością. Bo to właśnie niezmiennosc (choćby bałaganu, który dzień po dniu brał we władanie pokój Roberta) wabiła mnie najsilniej. Przyzywała do siebie, kiedy zewnętrzny świat osuwał się w zamęt, a moje myśli ześlizgiwały się po serpentynie neurozy. Udałam się do niego, do Roberta, by odkryć, że stara, bordowa narzuta wciąż tak samo przykrywa rozwalającą się wersalkę, na którą rzucałam się z cichutkim westchnieniem ulgi. A ona, pod moim ciężarem, odpowiadała równie cichym jękiem zdezelowanych sprężyn.

Zapamiętam tę chwilę, kiedy oboje wylegujemy się na niej i słuchamy *Święta wiosny* Strawińskiego na audiofilskim sprzęcie Roberta. A później rozprawiamy o Bogu, kosmosie i granicach ludzkiego poznania.

Gęsty ekstrakt z tych wszystkich nocy zgadanych aż do białego kośćca świtu.

Katalog jego lęków i frustracji. Naiwne braterstwo dusz. Niewypowiedziane.

Oraz portret jego matki – autorstwa ojca Roberta.